

Konrad Turzyński

Czy (nadal/znovu) żyjemy w socjaliźmie?

<<http://swkatowice.mojeforum.net/tutaj-post-vp12244.html#12244>>

Kilka dni temu w toruńskim dzienniku mogłem przeczytać, że *"Do jutra Komisji Europejskiej ma być przekazany wniosek restrukturyzacyjny. [...] Krajowa Spółka Cukrowa chce zakład w Brześciu Kujawskim zamknąć, ponieważ Unia Europejska zmniejszyła spółce limit produkcji cukru."* (Grażyna Sobczak, *"Ratunek w biopaliwach? Ostatnia szansa dla cukrowni w Brześciu Kujawskim"*, "Nowości" z 16 kwietnia 2008 r.). I aż trudno było mi uwierzyć: czyżby Komisja Europejska miała uwagę tak podzielną, jak Generalissimus Stalin, że potrafi zajmować się z osobna niedużymi firmami na dalekiej prowincji?

Rozumiem, że skoro kiedyś o Józefie Stalinie pisano, iż interesuje go każdy trybik w każdej fabryce (czytałem, pamiętam), to taka metafora w sam raz była dopasowana do tzw. kultu jednostki i pisano wtedy tak o Wodzu, bo tak "trzeba było" i już. Ale tu najwyraźniej chodzi nie o metaforę, lecz o adresowaną do konkretnej firmy konkretną decyzję, którą podjęła władza publiczna na bardzo wysokim szczeblu: nie miejskim, nie powiatowym, nie wojewódzkim, nie krajowym nawet, lecz federalnym. Tyle się mówiło w latach dziewięćdziesiątych — najpierw z okazji wyborów samorządowych w 1990 r., a potem z okazji reformy podziału administracyjnego za kadencji premiera Buzka — że samorządność polega na tym, iż jak najwięcej kompetencji zostaje przeniesionych niżej. Zresztą, zgodnie z tym, co w katolickiej nauce społecznej nazywa się "zasadą pomocniczości". **I po co to wszystko?**

Jednak przy okazji owej cukrowni nie o zasadę pomocniczości mi chodzi. Nawet, gdyby kwestia była rozstrzygana na szczeblu Urzędu Miejskiego w Brześciu Kujawskim, nie byłoby dobrze. **Jak można ustanawiać — a następnie przyznawać albo cofać — jakimukolwiek wytwórcy limity produkcyjne?** Jeśli nie jest pozbawiony rozumu i wyobraźni, to nie będzie się starał wyprodukować znacznie więcej, niż miałby szansę sprzedać. Limity sam sobie ustali.

Gdyby jeszcze chodziło o limity połowowe albo łowieckie! Wiadomo, że nadgorliwość ludzi w łowiectwie i rybołówstwie może skutkować wymarciem pewnych gatunków. Ale tam nie człowiek produkuje, lecz "matka natura", a człowiek przychodzi "na gotowe". Wytwórca — obojętnie, czy produkuje myśliwce, czy zeszyty, czy oranżadę, czy tomografy — na własne ryzyko ocenia chłonność rynku i stosownie do tego decyduje o tym, jak szybko produkować, aby jego towar nie zalegał w magazynach zamiast przynosić dochód.

Kiedy dopiero mówiono o przystąpieniu Polski do Unii Europejskiej jako o czymś przyszłym i pożądanym, uzasadniano to potrzebą "otwarcia na świat". Że nie można żyć w

"zaścianku", gdy trwa globalizacja. Że musimy "wrócić do Europy" (delikatnie mówiąc: **szczególnie chybione** hasło!). Że gospodarka rynkowa wymaga przystąpienia do "Wspólnego Rynku" (jedna z dawniejszych nazw **UE**) — i wzajemnie.

Rozmyślnie sięgam po informacje ze środków przekazu, które nie mają opinii "uniosceptycznych", aby to nie wyglądało na tendencyjne szukanie "dziury w całym". Oto inna świeża informacja: *"[...] po 1 stycznia 2009 r. ma nastąpić pełne uwolnienie cen energii, co oznacza dalszy wzrost cen w prywatyzowanych zakładach dostarczających energię [...] **Unijne** naciski, aby zmienić sposób płacenia akcyzy z elektrowni na dostawców wróżą nam kolejne podwyżki. [...] Po 2015 r. dramatyczna sytuacja jeszcze się zaostrzy, bo wtedy elektrownie będą zmuszone przepisami **unijnymi** do zakupu praw do emisji CO₂ na wolnym rynku. To będzie kosztowało i wymagało kolejnych podwyżek."* (Robert Kiewlicz, *"Polakom zajrzy w oczy głód"*, <<http://www.hotmoney.pl/arttykul/1857/1/>>). Co to znaczy "uwolnienie cen"? Albo raczej: dlaczego "uwolnienie" znaczy wzrost?

Jak to się dzieje, że skoro Polska nie stosuje ceł importowych wobec towarów krajów **UE**, towary importowane jako tańsze często wypierają towary krajowe ku utrapieniu krajowych producentów? Na to w każdym razie skarżyli się od lat rolnicy, że polskie młyny i polskie masarnie wolą importować surowce wytworzone przez rolników w innych krajach, a polscy chłopci są w takim razie skazani na dyktowanie im cen ich zdaniem nieopłacalnych. Jakoś tak dziwnie się dzieje, że to otwarcie na świat nie daje takich samych skutków w przypadku prądu elektrycznego, telefonii, internetu. Tu stale jest tak, iż Polakowi w Polsce jest relatywnie drożej używać tych dobrodziejstw niż Niemcowi w Niemczech albo nawet Grekowi w Grecji. Ale oto znowu widać w przytoczonej informacji fragment o *"**unijnych naciskach**"*, a nieco dalej o *"**przepisach unijnych**"*. Czy **"wolny rynek"** polega na tym, że **władza publiczna** (**unijna** albo inna, to mniej istotne) **wywiera "naciski" na gospodarkę?**

Nie, nie jestem fanatykiem wolnego rynku. Opinię takiego fanatyka miewa ma p. Janusz Korwin-Mikke, ale również nietrafnie, bowiem także on uznaje, iż państwo, aby istnieć, MUSI pasożytować na gospodarce (poprzez pobieranie podatków), zaś p. JK-M nie jest anarchistą, istnienie władzy państwowej akceptuje, więc owo pasożytowanie również. Rzecz w tym, aby ono odbywało się w rozsądnie małych granicach. Gdy państwo zabiera obywatelom 0% pieniędzy, to ginie natychmiast — z braku pieniędzy właśnie. Gdy zabiera 100% pieniędzy obywatelom, to ginie trochę później, ale z tego samego powodu, najpierw jednak giną z tegoż powodu (brak pieniędzy) obywatele, a potem... już nie ma z kogo ściągać podatków. Optimum jest gdzieś pomiędzy tymi skrajnościami. Co bynajmniej nie znaczy, że pośrodku! (Wbrew niemądremu powiedzonku mówiącemu o tym, gdzie — jakoby — leży prawda.)

Już w *"**Starym Testamencie**"* znajdują się przestrogi przed nadmierną zachłannością władzy publicznej w tym zakresie. Obszernie mówią o tym: *"**Księga Rodzaju**"*, rozdz. 41 i 47 (przykład egipski); *"**Księga Samuela**"*, rozdz. 12 (przeestroga wobec Izraelitów); *"**Pierwsza Księga Królewska**"*, rozdz. 12 (ziszczanie się tej przestrogi); wreszcie — *"**Księga Przysłów**"*, rozdz. 19 (syntetycznie i sentencjonalnie w postaci wersetu 4). Zapewne wielu tych, co czytali *"**Biblię**"*, z podatkiem kojarzą sobie jedynie scenę z *"**Ewangelii**"*, gdzie Jezusowi zadano podchwytliwe pytanie o płaceniu podatku rzymskim, pogańskim okupantom. Zaś ci, od których zależą decyzje w tej mierze, zapewne obawialiby się, że poszukiwanie inspiracji w *"**Piśmie Świętym**"* (nawet gdyby mieli ograniczyć się tylko do *"**Starego Testamentu**"*!) zostałoby poczytane za naruszenie współczesnych reguł **"poprawności politycznej"**.

Niemąlo wskazuje na to, że w Polsce to optimum jest realizowane, ale... na odwrót. To znaczy, że procent naszych pieniędzy pozostawiany łaskawie przez państwo w naszych kieszeniach to jest mniej więcej ten poziom, na którym powinna znajdować się suma płaconych przez nas podatków...

Czy zatem to nie jest tak, jak z gdańskim Niemcem, bogatym **Johannem Schultzem**, który jako przybrany ojciec, mówił do Jadwisi (= Marii Nałęczanki), tytułowej bohaterki powieści *"Panienka z okienka. Starodawny romansik"* niejakej "Deotymy" (= Jadwigi Łuszczewskiej): *"Waćpanna bój się mnie, bo ja fater, ale Waćpanna idź za mnie, bo ja nie fater"*? Czyli: **Polaku, gdy chcesz sprzedać swoje wytwory, to licz się z tym, że zarobisz MAŁO, bo takie są wymagania wolnego rynku, musimy być otwarci na świat, itp., itd.** Ale zarazem: **Polaku, gdy chcesz kupić energię elektryczną, to licz się z tym, że wydasz DUŻO, bo prąd takie są wymagania wolnego rynku, musimy być otwarci na świat, itp., itd.**

Prosty przykład, do którego nie trzeba nawet sprawdzać, czy dowiedzieliśmy się o nim z gazety uniosceptycznej, czy unioentuzjastycznej, od razu nasuwa na myśl, że z **socjalizmem** Polska ma o wiele więcej wspólnego, niż by wynikało z nawałnicy propagandowej, polegającej na codziennym (od kilkunastu lat!) odmienianiu przez wszystkie przypadki takich wyrazów jak "kapitalizm", "wolny rynek", "liberalizm", "otwarcie na świat", "konkurencja". W ubiegłym roku wiele szumu zdarzyło się wokół tzw. afery gruntowej, gdzie miało dojść jakoby do "odrołnienia" pewnego areału w zamian za łapówkę. Wielu łapówek nie byłoby okazji wręczać ani otrzymywać (lub odrzucać), gdyby wiele rodzajów spraw było wyjętych z kompetencji urzędników. Toteż nie chcę wnikać w to, czy — i ewentualnie kto — naruszył wtedy prawo. Chodzi mi o samą zasadę.

Gdyby bowiem nasz kraj był normalnym — tj. kapitalistycznym — krajem, to taki problem nie miałby szansy zaistnieć! Po prostu nie istniałoby ani "odrołnienie", ani "dorolnienie", ani nic podobnego. Jeśli jakiś grunt jest prywatny, to **właściciel i tylko on** decyduje, co tam robi: czy będzie na nim pasł kozy, hodował tulipany, czy może urządzi pole golfowe, kopalnię torfu, hotel, obiekt sakralny albo szkołę. I tylko, gdyby szkodził, zagrażał albo uprzykrzał życie innym, np. dozwalał emitować: hałas, trucizny, nieznosne odory, szkodliwe promieniowania, gdyby produkował broń, pornografię (lub inne usługi z zakresu tzw. seksbiznesu) albo narkotyki, to urzędnicy i sędziowie mogliby wtrącać się w to, co on (ten właściciel) na swoim gruncie robi — zgodnie z zasadą, że *"wolność mojej pięści kończy się tam, gdzie zaczyna się nos mojego bliźniego"*. Jednak jeśli kompetencja władzy publicznej (gminnej, powiatowej, wojewódzkiej, krajowej, unijnej, albo wreszcie planetarnej) sięga **dalej**, to znaczy to, że "właściciel" **nie** jest właścicielem, że faktycznym właścicielem jest suweren (cesarz, książę, chan, **serenissima repubblica**, **народная республика** /**narodnaja riespublika**/ itp. konstrukcja prawna), a ten niby-właściciel jest tylko dzierżawcą albo użytkownikiem, obowiązany jeszcze za to płacić trybut suwerenowi. Jak w feudaliźmie. Albo jak w socjaliźmie, który — jak wiadomo dzięki Stefanowi Kisielewskiemu — *"przezwycięża problemy nie znane poza nim"*.

I po co nam było zmieniać wielkim kosztem szyldy? (Dla niejednej Polki i niejednego Polaka — kosztem naprawdę dotkliwym!) Żeby mieć w szufladzie paszport, na biurku komputer z modemem, a za oknem (i we własnym portfelu) **socjalizm**?

Toruń, 21 kwietnia 2008 r.